ROK TRZECI.

№ 31.

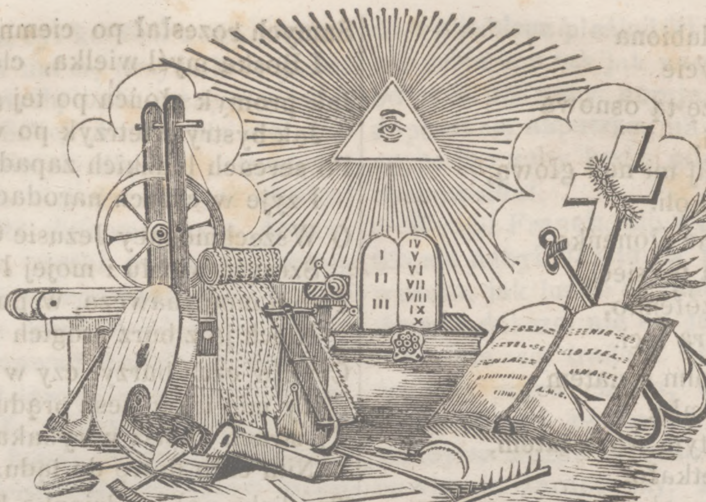
Warszawa

Dnia 20 lipca (1 sierpnia)

1858.

Niedziela

10ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie. a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! który wszechmocność Twoję najbardziéj w przebaczeniu i okazaniu miłosierdzia wyświetniasz, rozmnóż nad nami litość swoję, iżbyśmy unosząc się do owych rzeczy, któreś obiecał, niebieskich dóbr uczestnikami za Twą łaską stali się. (Kollekta na niedzielę Dziesiątą po Świątkach).

Poranek rzemieślników.

(Patrz nr. 30 Czytelni)

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

KOWALE.

W powietrze młoty, ochoczo!
Rzeźko, z zamachem,
Niech samym strachem
Czarny ten kruszec zgruchoczą.
Ochoczo młoty w powietrze,
By dzielnie padło
W twarde kowadło,
Niech się kowadło aż zetrze.
Nie żałuj kruszcu czarnego;
W ogień, pod młoty,
Nabierze cnoty
I kształtu zaraz nowego.
Żelazo, biedne żelazo
Na naszej błoni,
A z naszych dłoni
Cuda się z rudy okażą.
W powietrze młoty a raźno,
Pałasze, pługi,
Parowe cugi
Wybiegą na świat pokaźno.
Wszechmocny daje nam zdrowie,
A życie czynne,
Prawe, niewinne
Swiatu całemu opowie:
Że po tym trudzie i znoju,
Z czystem sumieniem
Pod kuźni cieniem
Sypiamy w słodkim pokoju.
Błogosław Boże swą mocą,
Bo ona zdala
Wspiera kowala;
W powietrze młoty, ochoczo!

—

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

PIOSNKA TKACZA.

Weszło słonko i promiona
Złote ciska na te nicie,

Swieć mi gwiazdo ulubiona
I pocieszaj tkacza życie.
Swieć, nim skończę tą osnową
I nacieszę się dowoli,
Wtenczas zmierzchnij mi nad głową,
Zanim sen mię nie okoli.

Teraz świeć mi, me słoneńko,
Graj światełkiem na tej sieci,
Goń swawolne to czółenko,
Kiedy z przędzą szarą leci.

Jaśnij nad tym moim światem
Jako ponad ziemią całą;
Jam tak zrósł się z tym warsztatem,
Że się życie już przetkało.

To mój światek biedny, mały,
W nim tu dla mnie wszystko żyje;
Pasma dzielą mój wiek cały,
I tak życie się to wije.

A czółenko... los niestały,
Trącam stopą, to grom bije,
Wietrzyk dmuchnął, włókna wstały,
O! na prawdę coś w tem żyje.

I wciąż idzie niewstrzymanie,
Aż się wszystko w jedno zwinie,
Póki wątku na to stanie,
Póki pamięć o tem słynie.

Poszczęść Boże tak do końca,
Nim pot otrę i odpocznę,
Przed zachodem jeszcze słońca
Nowy światek mój rozpocznę.

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

RYBAK.

Już słońce wschodzi, już błyska w dali,
Swiatełko poranne wzrosło;
Mknij lekka łódko po złotej fali,
Cichutko suń moje wiosło.

Mknij lekka łódko, ciągnąc sieć z sobą,
A w siatce tej rybek mnóstwo,
Skromna nadzieja płynie za tobą,
Ciesząc rybaka ubóstwo.

Ubóstwo!... skromna ozdobo życia,
W złotym spokoju, prostocie,
Tyś ukochane jest od powicia
Przez Boga, po swojéj cnocie.

Wszak On z ubogich rybaków przecie
Wybrał swych rycerzy krzyża,
Samych rozesłał po ciemnym świecie,
I Boska myśl wielka, chyża,
Jak promyk słońca po tej głębinie,
Jak bystry wietrzyk po wodach,
Po sercach ludzkich zapada, ginie
I żyje w całych narodach.

O Wszechmogący Jezusie Chryste!
Szczęść wiosłu i mojej łodzi,
Twoja moc zbawcza, w pogody mgliste
Niech ją z burz srogich wywodzi.

Czyli w czas burzy, czy w chwilę gromu,
Ty mię ustrzeżesz prądu,
Ty strach ukoisz w rybaka domu,
Nim cało dotrę do lądu.

Ten lichy połów dzionka każdego
Wystarczy biednej rodzinie,
I dla sąsiedztwa wystarczy mego,
Nim życie to w wieczność spłynie.

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

(Dalszy ciąg nastąpi)

Przygoda na jarmarku.

Paweł Socha 20 już lat był sołtysem we wsi Rożannie; wszyscy go tam kochali i szanowali, każdy szedł do niego po radę, po pomoc, bo rzadko kiedy się trafiło, żeby jaka sprawa u sołtysa się nie skończyła, tak już cała gromada nauczyła się wierzyć w jego zdanie. On się też najwięcej cieszył, kiedy mu się udało co dobrego wyświadczyć; każdy sąd jego był wedle Bożego przykazania, miał na celu pokój święty i miłość bliźniego. Był on wzorem dla innych włościan, bogobojny, pracowity, trzeźwy. Z tym prostym rozumem, co to każdą rzecz zdrowo i jasno widzi, umiał i sobie i innym poradzić w potrzebie. Paweł jak na swój stan, miał się bardzo dobrze—miło było spojrzeć na chatę sołtysa, tak zdaleka świeciła ładem i czystością. Sad pełen drzew owocowych otaczał ją dokoła, na boku schludna stodołka i obórka, a w niej kilka sztuk dobrze utrzymanego bydełka, para ładnych swego chowu koników świadczyły o staranności i pracy gospodarza. Ludzie mówili, że gdyby sołtys chciał, mógłby kupić fortunę szlachecką, ale sołtysowi tak było dobrze

w swojej chacie, tak był kontent z tego, co mu Bóg udzielił, że ani mu się przyśniło o czemś innem. Całą jego myślą było szczęście jedynego dziecka, ukochanej Anusi; dla niej Paweł siał, dla niej zbierał, dla niej drzewka w sadzie szczepił, dla niej do skrzyni chował talary. Sliczne i miłe dziewczę była Anusia, była pociechą ojca, matki pomocą i chlubą.

Poczciwie bo też wychowano Anusię; nauczono ją wcześnie kochać i bać się Boga nad wszystko, szanować starszych, miłować wszystkich ludzi. Dziewczyna tak wychowana sama nie doznawała smutku, ale nad cudzą niedolą rzewnemi łzami płakała, każdemu biegła z pomocą i naokoło Różanny znano Anusię córkę sołtysa. Anusia była najładniejszą z całej wsi dziewczyną, a jednak żadna z rówiennic nie zazdrościła jej tego, lecz wszystkie się nią jak siostrą pyszniły. Najbliższym sąsiadem Pawła Sochy był Andrzej Kopiak, dawny leśnik dworski; dziś spokojnie sobie siedział na niewielkiej roli, która mu się wraz z chatą po ojcu dostała. Paweł jeszcze dzieckiem razem z Jędrusiem biegali po łąkach, razem za ptakami po lesie, na jednej ławce uczyli się u organisty. Andrzej wcześniej się ożenił, chłopak jego najstarszy miał już cztery lata kiedy Pawłowi urodziła się córka. Pokumali się sąsiedzi, a Paweł powiedział do Andrzeja: jeżeli ją Bóg uchowa, to będzie żona dla waszego Stacha. Uchowała się Anusia, skończyła już lat 17, a sołtys ani wspomniał o weselu. Kochał on Stacha jak swego syna, dotąd nie miał nic przeciw niemu, chłopak był skrzętny, do pracy pilny, ojcu posłuszny, żwawy, urodziwy i niegłupi; dla Anusi w ogieńby poleciał, i ani przez głowę nie przeszło, żeby jej nie dostał. Anusia przywykła do niego od dziecka, nie umiałaby żyć bez Stacha, ale sołtys od jakiegoś czasu chmurnem okiem spoglądał na przyszłego zięcia.

Od pół roku powrócił do wsi Franek syn Janowej, wdowy po gospodarzu. Szczupłe było mienie ojca, pracował stary, póki sił starczyło, a nie było komu wyręczyć podupadłego na zdrowiu ojca— po krótkiej chorobie zakończył życie w ciężkiej trosce i w smutku. Franek bez woli ojca i matki wydarł się na służbę do Warszawy, zostawiając ich bez podpory. Obiecywał on sobie złote góry, co on to zarobi, jak się odzieje, jak na gospodarkę uzbiera pieniędzy; a praca lekka, mówił sobie, nie tak jak na wsi, co człek jak wół od rana do nocy haruje, a nic nię użyje. Oj! dopiero się napatrzę, nasłucham, a jak wrócę, to ino gęby będą otwierać, jak im będę rozpowiadał.

Wrócił Franek, ale z tych pięknych rzeczy nic nie nabył. Już to co prawić, to umiał: jak wesoło, jak ludno w mieście, jak bogato, jak drugim dobrze, ale co jemu to jakoś zawsze zła dola się trafiała. Tu była mała płaca, tam praca ciężka, tu zły pan, tam pani skąpa, dosyć, że nigdzie długo nie popasał, ze służby w służbę przechodził, na dobre słowo nawet nie zarobiwszy. Po śmierci ojca wrócił Franek — biedna matka wyglądała syna jak zbawienia, aby ją ratował i na starość zapewnił kawałek chleba. Ale Franek, miły Boże, co się też można było po nim spodziewać? Nienawykły do pracy, bo jej nigdy nie lubił, nie wiedział, jak radzić. Sprzedał co mógł, a tego grosza nie użył poczciwie, ale przemarnował. Co niedziela bowiem musiał w karczmie pohulać, bez kieliszka nie obszedł się, często się zdarzyło, że przebrał miarę, pijany wracał do chaty, gdzie matka nieraz zziębła i głodna wyglądała zmiłowania Boskiego.

Ale bo jak się tu było ustrzedz, jak tu było nie pić? Franek taki dobry kompan, tak go wszyscy lubili, takie dziwy prawił, każdy go chętnie słuchał, częstował. Niedawno wrócił, jeszcze dobrze się nie opatrzono, co był wart, a chociaż wiedzieli, że Franek ladaco, że ojciec prawie z jego przyczyny umarł, jeszcze mu byli radzi. Żadne wesele, zrękowiny, chrzciny bez niego się nie odbyły; wszędzie jak najęty bawił, śmieszył do upadłego. Wesół, usłużny dla drugich, jak dla siebie leniwy, znalazł przyjaciół—z początku tłumaczono go, obiecywano, że się upamięta, do pracy się weźmie, bo los starej matki był na jego głowie. Innem jednak okiem patrzał na te sprawy sołtys; on widział, że Franek nicdobrego, że się nigdy do chleba nie weźmie, i nie lubił go, a najwięcej go zrażało, że Franek przyczepił się do Stacha, często go wciągał w swoje hulanki i odwodził od domu i pracy. Stach widocznie smakował w jego towarzystwie, ojciec się gniewał, srożył się sołtys, jednak to nie pomagało; Stach nieraz poszedł

za namową Franka. Płakała Anusia, bo wiedziała, że ojciec złego nie daruje, że chociaż dobry. ale jak się rozgniewa, nie będzie z nim rady. A już niewiele było potrzeba, żeby się odrzekl Stacha; już powiedział, że swego dziecka nie da takiemu, co mu hultajstwo smakuje. Tak się to ciągnęło, kiedy w pobliskiem miasteczku przypadł jarmark. Ojciec Stacha potrzebował sprzedać jałowkę i ciołaka, a kupić parę wołów. Sam nie mógł jechać na jarmark, bo był chory; wyprawił więc syna z sołtysem, który także miał jakieś kupno, a zalecił surowo Stachowi, żeby broń Boże z Frankiem się nie zeszedł i ani sprzedał, ani kupił bez sołtysa.

Już sprzedali, co mieli do zbycia, Stach miał pieniądze w kieszeni, targowali z Pawłem parę ładnych wołów, szło im jeszcze o kilka talarów; odeszli, obiecując sobie powrócić i targu dobić. Paweł kupił krowę, odprowadził ją do fury, a Stach miał za nim pośpieszać; targował on woły, już tylko o cztery talary chodziło. Stach pobiegł za sołtysem, bo chciał już kupić, aż tu spostrzega na rynku tłum ludzi, słyszy krzyk, wrzask: a ty niecnoto, złodzieju, jeszcze nie dasz dobrego słowa; co to niewolno się o swoje upomnieć? Nie łżyj cyganie!... i ze wszech stron otoczono, szturgano, kogo?—Franka. Stach się przybliżył, ciekawy co się dzieje, a Franek jak go tylko dojrzał, zakrzyczał: ratuj dla Boga! zabiją mnie. Stach zaczął pytać, tłumaczyć, bronić Franka, pewny, że to jakaś pomyłka, nie mogąc dobrze zrozumieć o co idzie, aż tu jak go porwą pomiędzy siebie: a to ty pewnie taki dobry, jak i ten łotr? co to, chcesz go bronić?—to złodziej. W zeszłym tygodniu oto temu gospodarzowi ukradli w drodze konia; ten łotr go dziś na jarmark przyprowadził— do burmistrza ze złodziejem! Niech go tam sądzi, a i tego, co go broni; może razem kradli. Przecież gospodarz znają swoje bydlę; zamarał mu gwiazdkę na łysinie i myśli, ze już omani, a tybyś przysiągł, że poczciwy?— Stach oniemiał. Franek śmielszy, że ma drugiego obok siebie, tego, co najwięcej dogadywał, schwycił za kołnierz, chcąc sobie drogę do ucieczki otworzyć. W tej chwili chłop ogromny porwał go i zatrzymał; Stacha osypano gradem kułaków. Kiedy się chłopy biją, to aż straszno patrzeć. Franek z rozbitą głową, Stach z podbitem i zapuchłem okiem poprowadzeni zostali do burmistrza; znaleźli się świadkowie, pokazało się, że koń był ten sam skradziony, że Franek miał stosunki ze znanym złoczyńcą, co już za podobną sprawę siedział w więzieniu.

Tamten to ukradł konia o pięć mil, a do Franka go sprowadził, żeby on, jako jeszcze nieposzlakowany łatwiej go sprzedał. Franek został odesłany do sądu. Stach pomimo skargi i pobicia odprawiony z niczem; zimno go przeszło, kiedy się opatrzył. W tym tłumie, w zamieszaniu skradziono mu pieniądze; jak tu stanąć bez wołów przed ojcem, jak się pokazać sołtysowi? Ufając jednak w to, że nie był winny, pośpieszył do domu. Sołtys zaraz na jarmarku dowiedział się, co się stało, opowiadali i inni, co patrzyli na to. Żałowano Stacha, ale to złego nie naprawiło; nie było za co wołów kupić, a Stach nie śmiał patrzeć na ludzi. Tydzień leżał, nim się wyleczył, a kiedy się podniósł, nie dał ojcu pokoju, tylko żeby mu pozwolił iść na flisaki. Sąsiedni dziedzic właśnie wyprawiał drzewo do Warszawy; Stach chciał się nająć i z flisami popłynąć. Za poradą Pawła Kopiak, zgodził się na prośbę syna. Stach pożegnawszy Anusię i sołtysa, przeprosiwszy jeszcze raz ojca, wybrał się w drogę, a miał powrócić za trzy tygodnie; w Warszawie jednak ugodził się z kupcem, dla którego drzewo spławiali, i popłynął do Gdańska.

Długo Anusia wyglądała flisaków; nie wracali, bo wody nie było. Dopiero na jesieni gromada wesołych oréli pokazała się we wsi, a Stach najpierwszy przybiegł do chaty. Przez czas swej nieobecności zarabiał przy karowaniu drzewa i dużo zarobił, spory trzos napełnił pruskiemi talarami. Szczęśliwy i kontent z siebie powracał; sznur pięknych korali przyniósł Anusi, a ojcu na pierwszym jarmarku kupił parę ślicznych wołów, sołtysowi nisko się skłonił i przypominał daną obietnicę, domagając się już śmiało o Anusię jak o swoję. Sołtys rozpytawszy tych, co byli razem ze Stachem, jak się tam zachowywał, a kontent z tego, co mu powiedzieli, nie odwlekał dłużej i wyprawił dzieciom wesele. W parę lat widząc, że Stach się dobrze rządzi, oddał im gospodarstwo, mówiąc, że chce spocząć. Pracujcie wy młodzi, powtarzał, praca Pana Boga chwali, i do dobrego pomaga.

Sute wiano dostała Anusia, bo i chatę i grunt i piękny dobytek; ale też i Stach dobrze się rządził, a rodzicom byli oboje wdzięczni za to, co dla nich uczynili. Otoczyli ich troskliwością i staraniem, a Paweł doczekał, czego najwięcej pragnął: szczęścia swojego jedynego dziecka. Poczciwy żywot Bóg mu nagrodził największą łaską, bo spokojną starością i błogosławieństwem w dzieciach. A Franek odsiedziawszy karę przeznaczoną w więzieniu, wrócił do wsi, ale musiał uciekać w świat, bo tu nie mógł się ostać; każdy od niego stronił i wytykał. Poszedł więc szukać służby albo zarobku—nic mu się nie udawało; próżniactwo, hultajka przeszkadzały do pracy, aż wyszedł na zupełnego złoczyńcę.

Biedna stara matka żyła jakiś czas jeszcze na łasce sąsiadów, ale przecież Bóg ulitował się jej nędzy; umarła a przynajmniej się nie dowiedziała, co się z jej dzieckiem dzieje. Wyglądała go do końca, obiecując sobie, że wróci poprawiony, pracowity, nie przypuszczała nieszczęśliwa kobieta, jaki go koniec czekał. Doglądała ją w chorobie dobra Anusia, Stach i sołtys dostarczali, co tylko potrzebowała, po śmierci zaś ciało jej uczciwie pogrzebali.

Życie Beniamina Franklina.

(Dokończenie— patrz nr. 30 Czytelni).

—

Obok zajęć wypływających już to z profesyi, już też z obowiązków obywatelskich, znajdował jeszcze Franklin czas do rozmaitych badań naukowych; jemu to zawdzięcza ludzkość wiele nowych odkryć w fizyce, głównie zaś wynalezienie konduktorów elektrycznych, zabezpieczających budowle od uderzeń piorunu. W przedmiotach tych pisał i ogłaszał on wiele rozpraw, które zrobiły imię jego głośnem w Europie i stawiły go w rzędzie uczonych ośmnastego stulecia. W roku 1745 ogłosił swoje uwagi o nowo przez siebie wynalezionych tak zwanych Pensylwańskich piecach, który to wynalazek dla swej praktyczności wkrótce się upowszechnił.

Powołany w r. 1747 na członka powszechnego Zgromadzenia w Pensylwanii, przedstawił plan założenia wyższego zakładu naukowego (akademii) w Filadelfii, dla lepszego kształcenia młodzieży; nowa ustawa szkolna przez niego ułożona, zatwierdzoną została przez zgromadzenie w dniu 13 listopada 1749 roku. Myśl ta zyskała tak dalece powszechne uznanie mieszkańców Filadelfii, iż w przeciągu kilku tygodni zebrano na otwarcie tego instytutu pięcio-letnią składkę, corocznie po 800 funt. szter. (32,000 zł.) uiszczać się mającą; a z początkiem Stycznia następnego roku otworzono już trzy katedry, oraz szkołę tak zwaną *miłosierną*, dla 60 chłopców i 30 dziewcząt, która pomimo rozmaitych trudności, głównie z braku funduszów pochodzących, utrzymywała się przez lat blisko 40, i przez ten czas przysposobiła około 1200 dzieci, które inaczej byłyby pozbawione wszelkiego środka do nauki.

Franklin nietylko że sam tworzył i wprowadzał wiele pożytecznych instytucyj, ale nadto popierał całym swym wpływem myśli innych, ku temu dążące celowi. Około roku 1752 znakomity lekarz p. Bond powziął był zamiar założenia szpitala dla ubogich, który mało z początku znalazł współczucia; udał się on wtedy do Franklina, który tak dzielnie poparł tę poczciwą myśl, iż przyjęcie jej na Zgromadzeniu pozyskał.

W roku 1754 był delegowanym z prowincyi swej Pensylwanii na zjazd do Albany, dla obmyślenia środków zjednoczenia wszystkich osad i wzajemnej obrony przeciwko napadom Indjan. Następnie mianowanym był jednym z dowódzców wojskowych na granicy północnej; dalej w czasie zaszłych sporów pomiędzy osadami a krajem macierzystym, wybrany został na posła z prowincyi Pensylwanii dla przedstawienia, łącznie z posłami innych prowincyj Radzie Królewskiej w Londynie, zażaleń przeciwko zarządowi. Wypłynął on w miesiącu Czerwcu 1757 r. z Ameryki; po usunięciu wpływem swoim osobistym powodu tych zażaleń, pozostał Franklin przy dworze Wielkiej Brytanii w charakterze Agenta Pensylwanii. Dokładna jego znajomość stanu osad i niezmienna gorliwość o ich dobro, były powodem, że został mianowany na tenże sam urząd przez osady Massachuset, Maryland i Georgją—zachowanie się jego na tém stanowisku czyniło go codzień droższym dla jego rodaków.

Zasługi położone przez Franklina w dzię-

dzinie nauk i szacunek, jaki wzbudzał nawet w swych przeciwnikach, otworzyły mu pole do rozmaitych zaszczytów. Towarzystwo królewskie w Londynie mianowało go swym członkiem; inne podobnież towarzystwa naukowe w Europie ubiegały się o jego przyjęcie. Uniwersytet Sgo Andrzeja w Szkocyi udzielił mu stopień doktora prawa. Za tym przykładem poszły uniwersytety Edymburgski i Oxfordzki (w Anglii); najpierwsi uczeni starali się wejść z nim w stosunki.

W roku 1762 powróciwszy do Ameryki, otrzymał podziękowanie Zgromadzenia Pensylwanii za znakomite usługi oddane krajowi. Uchwalono zarazem dla niego nagrodę za sześcio-letnią pracę, w ilości 5,000 funtów szterl. (200.000 złp.); w czasie swej nieobecności wybierany był corocznie członkiem Zgromadzenia. Po powrocie do kraju zasiadł znowu w tem szanownem gronie i ciągle był dzielnym praw ludu obrońcą.

Z powodu nowych powikłań, wynikłych ze złego zarządu i uchwalenia uciążliwego prawa o stemplu, Franklin powołany został w roku 1766 przed kratki parlamentu w Londynie, dla objaśnienia istotnej opinii narodu, gdzie tyle wymową swoją dokazał, iż uciążliwe to prawo odwołanem zostało. W tymże samym roku zwiedził Franklin Hollandyę i Niemcy, otrzymując wszędzie od ludzi uczonych oznaki najwyższego poważania. W następnym roku udał się do Francyi, gdzie niemniej zaszczytnego doznawał przyjęcia.

Tymczasem stosunki pomiędzy Wielką Brytanią a jej osadami stawały się coraz drażliwszemi; ministeryum angielskie jakkolwiek odwołało znienawidzone prawo o stemplu, zastąpiło go wszakże nieco później, innym niemniej uciążliwym podatkiem. Osady zagrożone w swych prawach, pochwyciły za broń dla ich obrony. Franklin bawiący podówczas w Londynie, nie pominął żadnej sposobności, by skłonić ministrów do zmiany postępowania. Ci nie usłuchali jego mądrej rady, i postępując według raz powziętego planu, stali się przyczyną oderwania tych bogatych osad od kraju macierzystego.

Franklin widząc bezskutecznemi wszelkie swoje ku przywróceniu zgody usiłowania, powrócił do kraju w r. 1775, wkrótce po rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich. Nazajutrz po przybyciu obrany został przez ciało prawodawcze Pensylwańskie pełnomocnikiem na kongres. Na zebranem w roku następnym w Filadelfii zgromadzeniu, ku uchwaleniu w Pensylwanii nowej formy rządu, Franklin obrany został Prezesem. Ustawa konstytucyjna tej prowincyi uchwalona wtedy, jest po większej części zbiorem jego własnych zasad. Przy końcu tegoż roku wysłany został Franklin do dworu Francuskiego, dla uczestniczenia w układach rozpoczętych. Widoki korzyści handlowych i zamiar osłabienia potęgi Angielskiej, skłoniły rząd Francuski do wejścia z Ameryką w przyjacielskie stosunki; z początku zdawał się czynić to niechętnie, ale zręczność Franklina i świeżo otrzymane nad Jenerałem Burgoyne zwycięztwo, niechęć tę przełamały i w miesiącu lutym 1878 r. stanął traktat zaczepno-odporny, w skutku którego Francya wypowiedziała wojnę Anglii.

Nikt zapewne wtedy nie byłby w stanie lepiej usłużyć swej ojczyznie na dworze Francuskim, jak Franklin. Znano go powszechnie jako przyjaciela umiejętności i najwyższy charakterowi jego oddawano szacunek: uczeni francuscy przyjęli go ze względami, jakiemi przejęty był dla niego naród cały. Znamienitym więc być musiał wpływ jego osobisty; zwiększały współczucie dla sprawy, którą popierał, wydawane przezeń pisemka, mające na celu ustalić kredyt i znaczenie nowego państwa Zjednoczonych Stanów, przy pomocy których to środków zdołał Franklin wyjednać dlań pożyczkę w Hollandyi i Francyi, która się przyczyniła niemało do pomyślnego ukończenia rozpoczętej wojny.

Nieprzyjazny ciągle dla Anglii los oręża, mianowicie zaś pojmanie lorda Cornwalis z całem jego wojskiem, przekonały ją nakoniec o niepodobieństwie utrzymania się przy swych osadach w Ameryce. Ministrowie nie mogąc się dłużej opierać, ulegli wreszcie konieczności i w dniu 30 Lipca 1782 podpisane zostały w Paryżu przedugodne punkta przez Franklina, Adamsa, Jay i Laurensa ze strony Zjednoczonych Stanów, a przez p. Oswald ze strony Wielkiej Brytanii, następnie zaś zawarto stanowczy traktat na dniu 3 Września roku następnego 1783. W tymże roku w dniu 3 kwietnia zawarł Franklin traktat przymierza ze Szwecyą, w roku zaś 1785 krótko

przed swoim wyjazdem z Europy, z Prusami. Ale nie same tylko sprawy polityczne zajmowały podówczas myśl Franklina; wydał on w owej epoce w Paryżu kilka pism, zachęcających lud do pracy i oszczędności.

Dopełniwszy głównego celu swojego poselstwa przez zabezpieczenie traktatami niepodległości swej ojczyzny, osłabiony wiekiem, uczuł Franklin żądzę powrotu do rodzinnej ziemi; prosił więc o odwołanie, i otrzymawszy takowe, w miesiącu wrześniu 1785 stanął w Filadelfii. Wkrótce po swem przybyciu obrany został członkiem najwyższej władzy wykonawczej, następnie zaś jej prezesem.

W roku 1787 mianowany był deputowanym na zgromadzenie ustawodawcze, zwołane dla umocnienia rządu, zjednoczenia i przejrzenia ustawy związkowej. W tymże roku utworzyły się były w Filadelfii dwa stowarzyszenia oparte na zasadach prawdziwego chrystyanizmu: *Filadelfskie* ku osłodzeniu losu więźniów i *Pensylwańskie* ku zniesieniu handlu murzynów; obudwu tych stowarzyszeń prezesem był Franklin. Pomyślne skutki uwieńczyły szlachetne usiłowania obudwu tych towarzystw.

Wzmagające się z wiekiem dolegliwości fizyczne spowodowały wreszcie Franklina do usunięcia się w roku następnym od spraw publicznych. Jako prezes towarzystwa zniesienia handlu murzynów, podał był w r. 1789 do Izby reprezentantów przedstawienie o użycie całej władzy do przytłumienia tego gorszącego handlu ludźmi. Było to ostatnie jego publiczne wystąpienie; z początkiem Kwietnia następnego roku 1790 opanowała go gorączka, ta wszakże nie okazywała zrazu niebezpiecznych symptomatów. Trzeciego czy czwartego dopiero dnia przyłączył się do niej ból w lewym boku, który coraz się powiększał, zjawił się nadto kaszel i ciężkość oddechu. Kiedy mu w tym stanie moc boleści wycisnęła jaką skargę, zaraz się opamiętywał, i mówił, że się obawia pokazać słabym w przykładnem znoszeniu cierpień; iż wie bardzo dobrze, jakiemi go Bóg obsypał dobrodziejstwy, wynosząc go z ubogiego stanu i urodzenia do najwyższych ludzkich dostojeństw i znaczenia, że cierpienia, które mu teraz zsyła, są zapewne dobroczynnym środkiem do odstręczenia go od świata, na którym nie jest już zdolnym pełnić dalej swego posłannictwa.

W dniu 17 Kwietnia 1790 roku około godziny 11éj w nocy zakończył spokojnie długi i użyteczny żywot, mając lat 84 i miesięcy 3.

Franklin dorobił się znakomitego majątku; oprócz bogatego uposażenia swych dzieci i wnuków, rozdał przed zgonem znaczne summy na kollegia, szkoły, budowanie kościołów i t. p. Testamentem swoim wreszcie zapisał znaczną część swej biblioteki rozmaitym zakładom naukowym Filadelfii; obok tego 2000 funtów szterlingów (80.000 złp.) przeznaczył w połowie mieszkańcom miasta Bostonu, w drugiej połowie mieszkańcom miasta Filadelfii na pożyczki 5cio-procentowe, dla młodych ożenionych rzemieślników moralnego prowadzenia się, na rozpoczęcie ich zawodu, mieć chcąc, iżby po upływie lat stu, kiedy z opłacanego procentu utworzą się odpowiednie kapitały, takowe użyte były na cele użyteczności publicznej, jakoto: na bicie dróg, stawianie mostów, prowadzenie wodociągów, oczyszczanie rzek i t. p.

Tak to myśl poczciwego człowieka wybiega poza granice grobu, i dobro, jakiego serce jego było pełnem, za życia rozlewa na przyszłe jeszcze pokolenia, przekazując tym sposobem imię swoje błogosławieństwu i czci potomnych.

Koń Woziwody.

Wieczór był dżdżysty, grudniowy; woda z roztopionego śniegu stała na kamieniach pustej uliczki, a księżyc błyskał w te ciemne kałuże i w okna drobnych domków, wzrastających w oddaleniu przy sąsiedztwie większych ulic stolicy, pełnych gwaru i tłumu miejskiego.

Z drewnianych drzwiczek, opatrzonych w miejsce szyldu kawałem starej waty, wyszedł młody wyrobnik w ciepłym kaftanie i macając ręką w ciemności, dotarł do komórki przeznaczonej na schronienie konia. Drzwiczki domu zamknęły się, przez szparę tylko widać izbę czysto bieloną i ogień w kominie.

Przed kominem młoda mleczarka suszyła swoje buty i przemoczone odzienie; matka woziwody ze spuszczoną głową stała w kącie izby, patrząc w milczeniu na dwoje dzieci czyszczących starą watę; wielki, biały pies mleczarki spoczywał pod ławą po dziennych

trudach, a blaszane dzbanki świeciły na półkach.

Cicho było w izbie, wyraźnie jakiś smutek ciężył na wszystkich sercach; nawet mleczarka zwykle wymowna, milczała chwilę, wreszcie zawiesiwszy swój fartuch nad kominem, rzekła sąsiadce:

— Ja wiedziałam, że tak będzie. Od czasu, jak się razem mieścimy w téj izbie, przestrzegałam go zawsze; codzień przecież wyjeżdżaliśmy razem na miasto: ja w mojego psa z mlekiem na gospody, a on z swoją beczką i koniem po wodę. Widziałam ci, jak bił, katował biedne zmordowane stworzenie, i nie miało to zdechnąć!

Stara kobieta zadrżała.

— Zdechnąć? powtórzyła szybko, nie mówcie tego Katarzyno, nasz koń zachorował, lecz może wyzdrowieje...

Mleczarka wzruszyła głową.

— Próżne nadzieje! nogi chude jak drewna, żyły powyciągane z pracy, a żebra wystają z głodu. Kto chce, żeby bydlę na niego pracowało, musi mu dać wygodę, jedzenie i spoczynek, a wasz koń dzień i noc w zaprzęgu, jeszcze bity. Ja powiadam, że twój syn będzie winien straty tego konia. Czemu on nie patrzył, jak ja żywiłam mojego psa, dodała kobieta, czmokając ustami na zwierzę leżące na ziemi. No, Kundys! podnieś się, pokaż, czy jest gdzie na świecie pies lepiej, niż ty wypaszony?

Kundys podniósł się leniwo zpod ławy i liżąc ręce swej pani, legł na ziemi przed ogniem.

Tymczasem drzwi otworzyły się z trzaskiem, wyrobnik w kaftanie wbiegł do izby i załamując ręce, krzyknął:

— Zdycha!

Kobiety i dzieci porwały się z miejsc swoich, mleczarka zaczęła swoim zwyczajem: Ja wam mówiłam, a matka woziwody przybiegła do syna z boleścią i słowami:

— O my nieszczęśliwi! straciliśmy całe nasze mienie.

— Tak, poszepnął woziwoda, ten koń był naszym majątkiem!

Stara kobieta spuściła głowę i łza spłynęła jej z oka.

Syn zasłaniając sobie twarz rękoma, dodał ponuro:

— To poczciwe zwierzę na nas pracowało, a myśmy je krzywdzili niewyrozumiałością.

Matka nie czyniła wyrzutów sfrasowanemu synowi, mleczarka także nie śmiała już przerywać smutnej ciszy. Ogień zgasł w kominie, dzieci poszły w swój kątek, a koń woziwody zdechł w wilgotnej komórce, pożegnany w ostatniej chwili łzą dobrej kobiety obok wyrzutu sumienia swego pana, co poprzysiągł nadal obchodzić się lepiej ze zwierzętami.

Nazajutrz jednak te wyrzuty stały się dotkliwszemi, kiedy niebyło czem na chleb zarobić; beczki od wody stały próżne, wóz nie zaprzężony, a woziwoda smutny. Stara matka litościwa dla zwierząt, anielską była dla ludzi; przyszła do syna, i rzekła mu:

— Nie smuć się, ja ci będę pomocą. Przerabiam stare waty, wnet przyjdą je wykupić i będą na chleb pieniądze; ty zaś idź na robotę na miasto i twój zarobek składaj na konia.

Woziwoda posłuchał matki: rznął drzewo, przenosił ciężary, zarabiał ciężko i tak smutno przechodziła zima, a dzieci daremnie wybiegały przed sień, wyglądając jak dawniej, czy wóz z beczką nie zajedzie. Żona woziwody ślęczała całe dnie nad watą, mleczarka zaś powtarzała swoje: ja mówiłam... nie żałując jednak od czasu do czasu po szklance mleka dla dzieci.

Nadeszła wreszcie wiosna, ta najradośniejsza doba, dzień najpiękniejszy, w którym człowiek wychodzi z dusznej izby swojej, jak ślimak z skorupy. Woziwoda kupił konia, a nauczony doświadczeniem, ludzko i wyrozumiale z nim się obchodził. Przybycie tego oczekiwanego zwierzęcia było ważnem dla całej rodziny. Gdy pierwsza beczka wody przyjechała od Wisły, wszyscy wybiegli na jej spotkanie, dzieci skakały koło woza i beczki, woziwoda rosłego i upaszonego konika prowadził do stajenki na obrok, stara matka dziękowała Bogu, a mleczarka nie przepomniała powtórzyć:

— Ja mówiłam, że to będzie dobrą nauką!

I odprzągłszy swego kundysa, co właśnie przywiózł jej blaszane naczynia, głaskała go i karmiła chlebem.

Tak więc wszystko znów wróciło do dawnego trybu, do dawnej wesołości, wszystko nanowo radością ożyło, tylko konik woziwody nie wstał!

W drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 14 (26) lipca 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*